

Bez taryfy ulgowej

AUTOR: MAGDA PIEKARSKA

Piąta edycja wrocławskiego Przeglądu Nowego Teatru dla Dzieci pokazała, że w teatrze dla najmłodszych znajdziemy te same problemy i poszukiwania formalne, z którymi mierzą się tworzący dla dorosłych.

■ Tegoroczny przegląd był pierwszym po zmianie formuły – odbył się po rocznej przerwie. Dziś wiemy już, że taki właśnie, dwuletni cykl będzie obowiązywał w przyszłości, co pozwoli organizatorom utrzymać wysoki poziom prezentowanych spektakli. Z drugiej strony, festiwal jest dziś w mniejszym niż dotychczas stopniu imprezą międzynarodową – w programie znalazły się tylko dwa zagraniczne spektakle, oba pochodzące z libereckiej sceny Naivní divadlo.

Wpadek niemalże nie było – wprawdzie festiwal otwierała kiepska realizacja *Babci na jabłoni* w reżyserii Jarosława Kiliana, ale było to potknięcie trudne do przewidzenia. Zgodnie z tradycją przeglądu imprezę rozpoczęła premiera przygotowana przez gospodarza, czyli Wrocławski Teatr Lalek, spektakl, który nie zdążył przed rozpoczęciem imprezy zderzyć się z odbiorem publiczności i krytyki.

Babcia... zrealizowana na podstawie powieści Miry Lobe, znanej kilku pokoleniom czytelników na całym świecie, wydanej po raz pierwszy w Polsce pod koniec lat sześćdziesiątych, sprawdziła się jako swego rodzaju negatyw, pozwalający odpowiedzieć na pytanie, czym nie jest ów nowy teatr dla dzieci, którym zajmuje się przegląd i dyrekcja WTL – Janusz Jasiński i Jakub Krofta, wspomagani przez kierowniczkę literacką Marię Wojtyszko. A nie jest na pewno teatrem, któremu wystarcza proponowanie młodym widzom rozrywki na przyzwoitym poziomie. Który unika pytań o świat, w którym żyją jego odbiorcy. I któremu nie zależy na kształtowaniu ich poczucia estetyki.

Nowy teatr dla dzieci próbuje odzwierciedlać współczesny kontekst rzeczywistości,

punktować jej najistotniejsze problemy. Te dotyczące życia społecznego, czasami również politycznego. Stara się – podobnie jak liczne sceny dla dorosłych – wtrącać. A przy tym imponuje mnogością języków, rozwiązań formalnych, po jakie sięga. I choć na przeglądzie nie zabrakło tradycyjnych przedstawień lalkowych, to w repertuarze środków nowego teatru dziecięcego zajmują one jedną z wielu pozycji. Podczas imprezy przekonaliśmy się, jak zajmująco można opowiadać historie, mając do dyspozycji gliniane figurki, małeńkie i niemal pozbawione rysów twarzy (*Krzyżacy*), plastyczne, pozwalające się formować maski-kombinezony z gumy lub gąbki (*Opowieści z niepamięci, Mała mysz i słoń do pary*), albo długi stół, kilkadziesiąt białych piórek, zestaw czarno-białych fotografii, zabawkowy samolot i parę innych rekwizytów o bynajmniej nie teatralnej proweniencji (*Są takie miejsca spowite w ciemność, gdzie nigdy i nic kryją się na odległych wyspach*).

W tym kontekście spektaklowi Kiliana, opowieści o małym chłopcu, który w miejsce nieobecnej babci wymyśla sobie szaloną towarzyszkę zabaw mieszkającą na jabłoni, brakowało wyraźnego plastycznego kształtu, wiarygodnego rysunku postaci i pomysłu na ucieczkę od natrętnego dydaktyzmu.

„To zrozumiałe, że twórcy teatru dla dzieci i młodzieży reagują na świat, w którym żyjemy – mówił Jakub Krofta przed rozpoczęciem przeglądu. – A w tym świecie słowa »naród«, »wspólnota« czy »tożsamość« bywają nadużywane. Teatr dla dorosłych od dawna przepracowuje te kwestie i są one obecne także w teatrze dziecięcym. Nic w tym dziwnego – dzieci otacza ten sam świat, nie żyją w próżni”.

O narodzie, tożsamości, wspólnotcie, władzy, podziałach i uprzedzeniach – w różnych kontekstach – traktowała rzeczywiście większość spektakli, które znalazły się w programie przeglądu. Wątki narodowe pojawiały się w pacyfistycznej adaptacji *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza w reżyserii Jakuba Roszkowskiego, przywiezionych do Wrocławia przez gdańską Miniaturę. Dynamiczna akcja została tu zderzona z formą, która sama w sobie stanowi metaforę. Sugestywna scenografia Mirka Kaczmarka przenosi nas ni to na teren wykopalisk archeologicznych, ni to do gigantycznej piaskownicy, w której można rozgrywać wojny, budować i burzyć światy. Lalki są glinianymi, prymitywnymi figurkami, tak niewielkimi, że z łatwością mieszczą się w dłoniach aktorów, którzy pojawiają się na scenie w kombinezonach robotników. Ten zabieg natychmiast bierze los bohaterów opowieści w nawias, akcentując kruchość ich istnienia i rolę drobnych, niezna-czących trybików w maszynie historii. Sceniczny Zbyszko niewiele różni się od współczesnych nastolatków – bardziej od polityki interesują go dziewczyny, a wysłany z misją na ziemię Zakonu Krzyżackiego przekonuje się, że żyją tam ludzie tacy sami jak ci, wśród których dorastał. Na koniec dostajemy ku przestrodze scenę bitwy pod Grunwaldem – rysunki oddziałów wojskowych z różnych epok trafiają w otchłań niszczarki. Mieli je tak, jak ludzkie istnienia mieli historia, której rytm wyznaczają zbrojne konflikty. A jeśli chodzi o „serc po-krzepienie”, to pewną nadzieję na nową, lepszą przyszłość daje obsadowy koncept – w tej wersji *Krzyżaków* role dążących do dialogu króla Jagiełły i wielkiego mistrza grają kobiety.

Słowa „naród” i „tożsamość”, choć niewypowiedziane wprost, unoszą się nad opowieścią o parze bocianów – ona czarna, on biały – bohaterów *Odlotu* i ich podróży z gorącej Afryki do zaskakująco chłodnej Europy, a konkretniej – do Polski. Spektakl poznańskiego Teatru Animacji według tekstu Maliny Prześlugi i w reżyserii Janni Younge (RPA), reżyserki i twórczyni zjawiskowych lalek ptaków, to historia o uprzedzeniach, o swoich i obcych, o potrzebie wspólnoty, o jej wzmacniającej i niszczącej sile, ale i o dziecięcej umiejętności przełamania barier. Kluczem do tej narracji, w której może się przeglądać współczesna Europa z odżywanymi nacjonalizmami, zamykająca się przed napływem uchodźców, jest opowieść o przyjaźni ponad podziałami.

Historii przyjaźni, która burzy bariery, było zresztą na przeglądzie więcej, z aluzjami do rzeczywistości społecznej czy politycznej już nie tak czytelnymi jak w *Odlocie*. I gdyby w programie przeglądu odnaleźć najczęściej powtarzane przesłania, byłby to bunt przeciwko ujednoliceniu i apel o to, abyśmy potrafili się pięknie różnić. Tak jest w *Strasznej piątce* Marty Guśniowskiej w reżyserii Marii Żynel, gdzie w tytułowym składzie znajdziemy zwierzęta wyklęte, niepiękne i średnio na pierwszy rzut oka sympatyczne: szczura, ropuchę, pajęczycę, nietoperza i hienę, przekonujące się, że mimo różnic potrafią stworzyć wspólnotę, która razem czegoś dokona.

Inny tekst Guśniowskiej, *Mała mysz i słoń do pary*, wystawiony w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora w reżyserii Agaty Kucińskiej, jest z kolei opowieścią o dojrzewaniu do przyjaźni i o procesie, jakim jest akceptacja własnych i cudzych ograniczeń. I wreszcie *Wodna opowieść* Maliny Prześlugi w reżyserii Roberta Drobniacha, przywieziona do Wrocławia przez szczebińską „Pleciugę”, historia miłości kijanki i karasia, która trwa na przekór wszystkim, którzy uważają taki związek za skazany na porażkę.

Regułą stało się we współczesnym teatrze dziecięcym kierowanie spektakli do określonych grup wiekowych – od najmłodszych do nastolatków. I obie te skrajne grupy stanowią dla twórców największe wyzwania. W pierwszym wypadku twórcy teatralni we współpracy z psychologami opanowali już pewnego rodzaju *modus operandi* – dostajemy afabularne spektakle, oparte na interakcji z widownią, na stymulowaniu jej subtelnymi impulsami: kształ-

tami, kolorami, fakturami, dźwiękami, ruchem. Niewiadomą pozostaje zawsze reakcja raczkującej publiczności, to, na ile i w którym momencie postanowi zawładnąć sceną, w rywalizacji o uwagę pozostałych widzów spychając aktorów na drugi plan.

Z kolei na pytanie, jak rozmawiać z nastolatkiem, teatr wciąż szuka odpowiedzi. I najbliższej jej odnalezienia są zwykle ci twórcy, którzy traktują gimnazjalistów i licealistów po partnersku, bez taryfy ulgowej. Jednocześnie zachowując zdrowy dystans, bez udawania, że sami są w stanie wejść w skórę swojej rozwibrowanej burzą hormonów widowni.

Przykładem takiej udanej realizacji jest *Kasieńka*, adaptacja książki Sarah Crossan, wyreżyserowana przez Annę Wieczur-Bluszcz w Miniaturze. Siłą tej opowieści o wyprawie matki i córki z Polski do angielskiego Coventry w poszukiwaniu ojca, który porzucił rodzinę, jest znakomity tekst, mówiony z offu przez równoletkę bohaterki, tytułowej Kasieńki. Plastycznie całość zrealizowana jest w skromnej konwencji teatru cieni, rozgrywającego się na tle stylizowanej na dziecięcy rysunek scenografii, która nie próbuje rywalizować z tekstem. To, co jest istotą, czyli emocje, pozostaje ukryte pomiędzy narracją, której każde zdanie trafia w sedno, a gestami postaci pojawiających się za ekranem. Taki sposób opowiadania pozostawia przestrzeń dla inteligencji i wrażliwości widza, który własną inwencją wypełnia te „puste” miejsca.

W zaufaniu do kompetencji widzów tkwi też sukces *Króla Maciusia Pierwszego* w reżyserii Konrada Dworakowskiego z rewelacyjnym Mateuszem Bartą w roli głównej. Spektakl Teatru Lalek Baniałuka z Bielska-Białej zamienia utwór Korczaka w mroczną, w dużej części pantomimiczną opowieść o tym, jakim ciężarem jest władza. W przedstawieniu to, co uniwersalne, splata się ze współczesnym kontekstem.

Najsłabszym elementem młodzieżowego programu okazał się *Cyber Cyrano* Istvána Tasnádiego w reżyserii Jacka Malinowskiego. Trudno nie odnieść wrażenia, że tekst węgierskiego dramaturga, opowieść o zazdrości, przyjaźni, miłości i intrydze w świecie mediów społecznościowych, ma w sobie raczej filmowy niż teatralny potencjał. Mimo przemieszania konwencji (bohaterów spotykamy w dwóch wcieleniach – lalkowym i w żywym planie) nie udało się uniknąć wrażenia pewnej pretensjonalności, towarzyszącej często spektaklom,

w których oglądamy dorosłych aktorów w rolach nastolatków. To swoisty paradoks, bo takie odczucie pojawia się zdecydowanie rzadziej, kiedy mamy do czynienia z aktorami kreującymi dziecięce postaci. Fałsz tkwi w samym koncepcie sytuacji, w której aktorka, wychodząc na scenę, usiłuje zburzyć trzecią ścianę i przekonać publiczność: jestem jedną z was.

Spektakl libereckiego *Naivního divadla* *Są takie miejsca spowite w ciemność, gdzie nigdy i nic kryją się na odległych wyspach* na motywach historii z wydanego także w Polsce *Atlasu wysp odległych* Judith Schalansky i w reżyserii Filipa Homoli połączył nastolatków i dorosłych odbiorców. Aktorzy posadzili nas przy długim stole, przez który wędrował psi zaprzęg, zostawiając za sobą krwawe ślady, a to wzbijała się do lotu Amelia Earhart, a to trafiały tam płaty mięsa upolowanych wielorybów czy pióra wywiezionych przez badaczy rzadkich okazów ptaków. Mimo że przedstawienie nie było tłumaczone, to sens, który spajał opowieści o dalekich wyspach, był czytelny dla wszystkich – to refleksja dotycząca poznania świata, które często wymusza podporządkowanie. W końcu też jest to historia cywilizacji niosącej ze sobą zniszczenie.

Drzwi przed dziecięcą widownią pozostały zamknięte tylko raz – dorośli mieli także swoje pięć minut, które przeciągnęło się do niemalże trzech godzin podczas przedpremierowego pokazu *Estradowego wycierusa*. Show lalkarki Anny Makowskiej-Kowalczyk, animowanego przez nią, stworzonego z gąbki Kazia Sponge oraz kompozytora i wykonawcy muzyki na żywo Grzegorza Mazonia wróci w skróconej formie po wakacjach, inicjując w WTL działalność sceny dla dorosłych. Jednak już po pierwszym, zdecydowanie za długim pokazie można było się przekonać, jaki potencjał kryje w sobie lalkowy spektakl w kontakcie z dorosłym widzem. Sama relacja Makowskiej-Kowalczyk z Kaziem jest fenomenem i zagadką – widz odnosi wrażenie, że lalka żyje własnym, osobnym życiem. Z pewnością jej wykorzystanie w konwencji stand-upowego show pozwala na więcej wolności, bezczelności, szczerości, twórczej dezynwoltury, które w tej poetyce są wręcz pożądane. Niezależnie od tego, czy przed sobą ma się dorosłego, czy małego widza. ■